

ROK III.

GRUDZIĘŃ

ŚWIAT ZWIERZĘCY

Treść:

1. W noc Bożego Narodzenia —
Dr. M. Skrudlik.
2. Przyczynek do walki z wiwisekcją.
3. Corrida tragica — *Zofja de la Bruyère.*
4. Kundel — *M. H. Szpyrkówna.*
5. Głosy czytelników.
6. W jakim stanie polskie konie przybywają do Brukselli.
7. Z życia organizacyj.



DO WSZYSTKICH TOWARZYSTW OPIEKI I OCHRONY ZWIERZĄT

Istnieje w Polsce kilkadziesiąt placówek, mających na celu opiekę nad zwierzętami i ochronę ich przed krzywdą ze strony złych ludzi.

Każde z tych stowarzyszeń posiada w swym gronie wiele osób gorąco pragnących nieść ulgę cierpiącym zwierzętom. Każdeby chciało działać jak najwięcej i każde, niestety, natrafia w swej pracy na różne trudności, które nie dają się łatwo usunąć i dla zwalczania których potrzebny jest wspólny wysiłek.

„ŚWIAT ZWIERZĘCY“ zawsze i zdecydowanie występuje w obronie praw należnych zwierzętom.

„ŚWIAT ZWIERZĘCY“ jest do dyspozycji każdego stowarzyszenia o pokrewnym nam celu i powinien być łącznikiem pomiędzy temi organizacjami i ich członkami.

Otwieramy tamy naszego miesięcznika dla wszystkich towarzystw i ich członków, mających za cel łagodzenie obyczajów i opiekę nad zwierzętami i prosimy uważać nasze wydawnictwo za swój oficjalny organ, oraz nadsyłać do naszej redakcji artykuły, wzmianki, sprawozdania, zawiadomienia i wszelkie wiadomości, mogące przyczynić się do ułatwienia i spopularyzowania pracy poszczególnych towarzystw i ich członków.

Dla osiągnięcia możliwie największych korzyści z tego wspólnego wysiłku, a zarazem dla ułatwienia nam prowadzenia wydawnictwa, pożądanem jest, by jaknajwiększa ilość osób czytała i prenumerowała „Świat Zwierzęcy“.

Wierząc, iż nasze dobre chęci i cel są dla każdego zupełnie jasne, prosimy kierować do wydawnictwa zamówienia na prenumeratę oraz wypowiedzieć się o przystąpieniu do współpracy.

CENA ZESZYTU

80 GROSZY.

MIESIĘCZNIK

ŚWIĄT
ZWIERZĘCY

ORGAN POLSKIEJ LIGI PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Grzybowska 40, tel. 221-21. Godz. 17-19. Redaktor tel. 814-55.

Dr. M. Skrudlik.

W NOC BOŻEGO NARODZENIA.

„I porodziła syna swojego pierworodnego“, — mówi o Marji w rozdziale o Bożem Narodzeniu, św. Łukasz Ewangelista, — „a owinęła go w pieluszki, i położyła go w żłobie, iż miejsca im nie było w gospodzie“.

Treścią Ewangelji są dzieje Odkupienia, historia narodzin nowego człowieka i nowego świata. Stąd waga każdego słowa, wyeliminowanie wszelkiej „przypadkowości“, wszelkich dygresyj w opowiadaniach Ewangelistów, stąd głębokie symboliczne znaczenie faktów, nawet pozornie drugorzędnych.

Na kanwie słów Ewangelji i tradycji kościelnej tkają swą przędzę sztuka pierwszych wieków nowej ery i legenda.

Nie lekceważmy pojęcia legendy.

W barwnej, poetyckiej jej formie, przystosowanej do ówczesnych pojęć i przekonań, zamknięta była prawda wieczna, prawda wyrosła na podłożu naki Chrystusa.

Mysł i fantazja ludzka sięgała poza lapidarność opowiadań Ewangelistów, starała się rozświetlić, uzupełnić w zgodzie z tradycją znaczenie poszczególnych faktów.

Od zarania naszej ery stajenka betleemska, gdzie Dziewicza Matka złożyła na sianku Syna swego nowonarodzonego, — przyciągała serca i dusze ludzkie.

Stajenka ta stała się symbolem nie tylko wyrzeczenia się, dobrowolnego ubóstwa — ale przemieniła się jednocześnie w wielką świątynię miłości, gdzie „wszystko co żyje“, zjednoczyło się w pokoju i w hołdzie Bogu Narodzonemu.

Nad Dzieciątkiem czuwała Matka Jego, a wół i osioł ogrzewały Je ciepłem swych oddechów.

Zanim zjawili się pastuchowie, zanim nadciągnęli mędrcy ze Wschodu, ta para zwierząt była świadkiem wielkiej tajemnicy szopy betleemskiej i wierną straż sprawowała nad żłobkiem.

Stąd też noc wigilijna stała się świętem człowieka i zwierzęcia, świętem, które zrodziła miłość.

W tradycjach i wierzeniach ludowych noc Bożego Narodzenia żyje po dziś dzień — jako owa noc tajemnicza, w której serca ludzkie i zwierzęce biją w jeden rytm pokoju i miłości.

W noc tę do szop bydłych wkracza ludzkie współczucie i miłosierdzie, obudzone wspomnieniem stajenki w Betleem.

Opłatek z rutą, którym gospodarz obdziela zwierzęta w stajni — stał się tym symbolicznym „chlebem miłości“, zespalałym człowieka z jego „młodszym bratem“.

Analogiczne zwyczaje żyją w całym świecie chrześcijańskim.

Nie o ich przegląd nam obecnie chodzi, ale o stwierdzenie faktu ogólnego, zasadniczego znaczenia.

Tradycja, rozwijając opowieść ewangeliczną o Nocy Bożego Narodzenia w określonym kierunku, rzuciła tem samym wskazanie obowiązujące, posiadające moc nakazu.

Wskazanie to reguluje stosunek człowieka do świata zwierzęcego, kształtuje je na podłożu miłości, współczucia i miłosierdzia.

Gdy wskazania te, nie będą tylko pewną formą rytuału świątecznego, ale staną się potrzebą dnia powszechnego, wtedy dopiero pokój Boży zamieszka wśród nas.

PRZYCZYNEK DO SPORU O TAK ZWANĄ „WIWISEKCJĘ“.

(Odpowiedź na artykuł p. Dra Włodzimierza Koskowskiego, profesora farmakologii doświadczalnej U. J. W. we Lwowie, p. t. „Spór o t. zw. wiwisekcję“, opublikowany w „Polskiej Gazecie Lekarskiej“ Nr. 21 z dnia 4 maja 1931 r.).

Na wstępie wypada nam zaznaczyć, że „wiwisekcja“ jest dla nas przedmiotem sporu i walki w imię zasad etyki i humanitaryzmu, a nie z tytułu swej problematycznej wartości praktycznej, ponadto, że podjęta przez nas akcja przeciw **nadużywaniu doświadczeń** naukowych, a szczególnie demonstracji na żywych zwierzętach, ma na celu spowodować (za pośrednictwem miarodajnych czynników: 1) ograniczenie ilości eksperymentów w myśl postanowień ustawy o ochronie zwierząt (Dz. U. R. P. Nr. 36, poz. 332 ex 1931), 2) zaniechanie dotychczasowych, nad wyraz niehumanitarnych sposobów eksperymentowania, 3) otoczenie pewną troskliwością ofiar przeznaczonych na stół wiwisekcyjny (przed i do eksperymentu), a wreszcie 4) wyłączenie z doświadczeń tych zwierząt (szczególnie psów), które stanowią własność prywatną obywateli.

Akcja ta, jako nieunikniona konsekwencja stanu faktycznego, z którym wrażliwsze sumienia nie mogą się żadną miarą pogodzić, winna była zasadniczo wyjść z grona lekarzy i studentów medycyny, jako czynników najbliższych ołtarza. Skoro jednak w ciągu lat długich nie zaniósł się ani razu na podobną akcję w imię humanitarności, muriały ją zapoczątkować prawnie istniejące Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, jako czynnik obywatelski. Do tego wystąpienia nie potrzeba było „zadziwiającej śmiałości“, o której mówi w swym artykule prof. Koskowski. Było to raczej wystąpienie przeciw zadziwiającej śmiałości panów eksperymentatorów.

Prowadzenie wszczętej akcji aż do osiągnięcia zamierzonego skutku poczytujemy za swój moralny obowiązek. Od akcji tej, prowadzonej środkami legalnymi, nie damy się odwieść ani złośliwą reakcją ze strony wykonawców wiwisekcji, ani pierwszymi niepowodzeniami we wzniosłej pracy. Jeżeli prof. Koskowski zrozumiał nas inaczej, to nie rozumiał nas wcale. Ta okoliczność jest jednak dla sprawy małego znaczenia. Zapowiedzią niebezpieczeństwa jest natomiast moment inny. Oto w obozie przeciwnym niema tej dobrej woli, jakiejby się słusznie spodziewać należało. Dostatecznym tego dowodem jest sposób reakcji, z jaką spotkaliśmy się ze strony tegoż obozu. W szczególności jeden z profesorów medycyny weterynaryjnej wystosował do T-wo pismo, którego treść i forma stanowią sui generis curiosum. Inny znów profesor posunął się w swym świętem oburzeniu aż tak daleko, że pisemnie odmówił naszej ideowej placówce „przywilejów“, z jakich korzystała na terenie jego pracowni. „Przywileje“ te polegały na tem, że T-wo tuł. w przypad-

kach sporadycznych oddawało na weterynarję do otrucia (sposobem humanitarnym) ułomne i chore psy i koty, na które nie można było znaleźć odbiorców, przyczem koszty otrucia pokrywało T-wo z własnych funduszy. Postąpienie odnośnego profesora było podeptaniem zasady humanitarności. Jak na naszą akcję zareagował prof. Koskowski, dowiedzą się Szanowni Czytelnicy ze słów następných.

Autor artykułu, odwołujący się kilkakrotnie do konieczności poważnego traktowania problemu wiwisekcji, wysiła się „ex offio“ nad ośmieszeniem i wykpieniem akcji antiwivisekcyjnej. Nie jesteśmy tem jednak zaskoczeni; każda bowiem wzniosła idea miała swoich kpiarzy i szyderców.

Autor przyznaje, że problem wiwisekcji „obejmuje sprawy natury moralnej, wchodzi w subtelne zagadnienia etyki lekarskiej“ i t. d., nie wnikając jednak głębiej w meritum sprawy, które — jak podkreślamy — jest natury moralnej, zabawia się „con amore“ wymkami z broszury Dra L. Oehningera, profesora medycyny w Monachjum, p. t. „O konieczności radykalnej walki z „naukowemi“ torturami zwierząt, t. zw. wiwisekcją“ oraz broszury Dra W. Knappego, lekarza w Warszawie, p. t. „Na marginesie badań fizjologicznych“. Pomija natomiast milczeniem cały szereg znamiennych poglądów i uwag, jakie na temat wiwisekcji wypowiedzieli inni lekarze i profesorowie medycyny, a wraz z nimi myśliciele o rozgłośnych nazwiskach. W treści odnośnych broszur, pełnych moralnego buntu przeciw gwałtom, dokonywanym na żywych zwierzętach, nie znalazł prof. Koskowski nic więcej, jak tylko i jedynie „frazjeologiczne zwroty i niezgodne (sic!) z rzeczywistością fakty, przeznaczone dla bezkrytycznej opinii mas i członków towarzystw antiwivisekcyjnych“. Obrońcom zwierząt zarzuca „zbieranie funduszków na demagogiczną i na fałszywych faktach opartą propagandę“. Co gorsze, zarzuca im, że „pograżają społeczeństwo w obskurantyzmie i pchają je w objęcia znachorów i partactwa lekarskiego“. Nie zbija go z tropu fakt najbardziej chyba rzucający się w oczy, że w gronie tych ciężkich winowajców znajdują się także profesorowie medycyny i lekarze. Wyraża pewną nieufność w przyrodolecznictwo, homeopatię i metodę Kneippa, jakkolwiek metody te mają w medycynie swoją historję i swoje zasługi. (Jeśli chodzi o przyrodolecznictwo łącznie z balneo- i klimatoterapią, to nieufność ta jest albo przedwczesna albo spóźniona, a w każdym razie nie na czasie). Poczł wogóle polemizować? Gdyby nie wiwisekcja, nie byłoby medycyny? Zwalczanie niewinnej, a tak zasłużonej metody badawczej jest przeto największą zbrodnią przeciw ludzkości, a propagatorów walki z tą niezawodną metodą winno się wykluczyć ze społeczności. Takiemu przekonaniu może ulec, kto nie wniknąwszy w istotę rzeczy, aż nadto drastycznej,

zadowolili się jednostronnym artykułem i uwierzy ślepo w „verba magistri” jako „sancta verba veritatis”.

Argumentami w obronie wiwisekcji są „fakty tak oczywiste i elementarne, że aż żenujące. Rozumie ich znaczenie nie tylko świat lekarski, ale nawet myśląca publiczność”. Tak twierdzi bezapelacyjnie prof. Koskowski. Czemu więc przypisać, że ruch anti-wiwisekcyjny zawdzięcza swój początek nie komu innemu, jak właśnie lekarzom (scilicet: zagranicą)? Czemu przypisać, że zagranicą powstają coraz liczniejsze związki lekarzy przeciwnych wiwisekcji? Czemu przypisać, że zagranicą odbywają się z udziałem profesorów medycyny międzynarodowe zjazdy, poświęcone temu palącemu zagadnieniu? Czemu wreszcie przypisać, że szereg wielkich umysłów i tytanów ducha, których — choćby z prostej kurtuazji — przystoi zaliczyć do „myślącej publiczności”, oświadczyło się kategorycznie przeciw wiwisekcji, nazywając ją zdecydowanie „hańbą kultury, wskrzeszeniem tortur średniowiecza, triumfem bezprawia, finezją sadyzmu” i t. p.? Pytania naprawdę godne zastanowienia i rozważań, a dla nas żenująco proste. Odpowiedź na nie chyba jedna: wiwisekcja jest dziedziną, w której obok zjawisk dodatnich, stosunkowo bardzo nielicznych, występują nieodłącznie zjawiska tak drastycznie ujemne, tak niezgodne z pojęciami etyki i tak sprzeczne z poczuciem sumienia, że wyłonienie się obozu przeciwników wiwisekcji stało się rzeczą nieuniknioną. Zwolennicy wiwisekcji, zapatrzeni w jej zjawiska dodatnie, oslepli na zjawiska ujemne; przeciwnicy wiwisekcji, przerażeni w swem sumieniu jej zjawiskami ujemnymi, nie mogą temsamem uznać jej zjawisk dodatnich lub pseudododatnich. Kolidują uczuć i pojęć wytworzyła konflikt o tyle specyficzny, że wiwisekcyjniści uważają swych przeciwników za „vulgus profanum”, zaś siebie za „wielkich wtajemniczonych”, o wyjątkowych przywilejach, wykraczających poza prawa boskie i ludzkie. Dla nas problem wiwisekcji wysuwa jedną kwestję zasadniczą: czy etyka jako najwyższe dobro moralne ludzkości ma ustąpić przez bardzo względne dobrem materialnym, osiągalnym także na drodze, wolnej od zadawania okrucieństwa?

Poruszony problem traktuje autor artykułu w ten sposób, jak gdyby zwalczanie tej bez wątpienia okrutnej metody badawczej, było zamachem na naukę i wiedzę lekarską, paraliżującym wszelki jej postęp. Wiemy jednak, że najcenniejsze wynalazki, epokowe odkrycia i najwspanialsze zdobycze naukowe także w zakresie wiedzy lekarskiej, zawdzięcza ludzkość geniuszom, którzy z wiwisekcją nie mieli i zapewne nie chcieliby mieć nic wspólnego. Można natomiast twierdzić, że szkoła wiwisekcyjna poza szeregiem innych krzywd, wyrządzanych ludzkości (skutkiem ogromu fałszywych wniosków, błędów i omyłek) zagraża dorobkowi moralno-etycznemu ludzkości. Droga najbardziej nawet skomplikowanego rozumowania nie możnaby dojść do wniosku, że w dziedzinie badań naukowych nie obowiązują ogólnie przyjęte zasady moralnoetyczne. Stosowanie w nauce zasady „cel uświęca środki”, zepchnęłoby naukę w odmetę nihilizmu moralno-etycznego.

Spór na temat „chlubnych zdobyczy” (akto chlub-

nych, skoro okupionych *setkami tysięcy* niewinnych ofiar?) i użyteczności badań na żywym materiale zwierzęcym, a następnie ludzkim, pozostawiamy lekarzom i profesorom medycyny, jakkolwiek nawet myśląca publiczność wie, co sądzić o praktycznej wartości tych zdobyczy (scilicet: nie dla przemysłu farmaceutycznego, lecz dla niej samej). Wie bowiem, jakim humbugiem okazała się reklamowana na całym świecie metoda odmładzania, stosowana przez Woroncowa i Steinacha; wie, z jak karygodnym skutkiem stosuje się preparaty Calmette'a; wie, że gruźlica, rak i kiła, mimo niezliczonych metod leczniczych i arsenału zalecanych środków, z których „co jeden, to lepszy”, przybrały charakter chorób społecznych; wie nadto wiele innych rzeczy, których niepodobna tu wyliczać. Wszak medycyna, która bada skrzętnie wszelkie zjawiska i objawy chorobowe układu ściśle i wiarygodne statystyki, przeżywa raz poraz nowy bluff, nowy humbug (także „co jeden, to lepszy”), tak, że niejednokrotnie możnaby ją nazwać szarlatanerią. Cóż mówić o tej gałęzi medycyny, która spostrzeżenia swe i blade domysły, zebrane na różnorodnie uorganizowanym materiale zwierzęcym, transplantuje na organizm ludzki, wykazujący u różnych jednostek różne cechy indywidualne. Stąd bezdroże długotrwałych prób i doświadczeń na materiale ludzkim, stąd zgubny manowiec fatalnych omyłek, okupionych drogo zdrowiem i życiem tysięcy ofiar ludzkich, stąd częste nawroty do źródeł zapomnianych i nieustająca wędrówka za nowymi źródłami sztuki leczenia, jako zasadniczego celu medycyny. A wszystko przypomina gonitwę psa za własnym ogonem. Niech nam wolno będzie przytoczyć znamienne słowa Dra Hansa Mucha, profesora medycyny w Hamburgu, zawarte w jego dziele p. t. „Hippokrates der Grosse” (str. 12): „To, co my nazywamy wiedzą lekarską, nie jest niczem innym, jak zmyśloną nicością, skrzętnem marnowaniem czasu”. Rzecz prosta, że twierdzenia tego nie można uznać za dogmat. Medycyna bowiem ma także niespożyte zasługi, których niepodobna zaprzeczyć; zawdzięcza je w dużej mierze wspaniałemu rozwojowi innych nauk oraz doskonałości przyrządów (jak np. mikroskop). Nie mniej jednak, od zarania swego poczynszy aż po dzień dzisiejszy, popełnia kardynalne błędy, nie zna istoty najgroźniejszych chorób, wobec licznych chorób i schorzeń jest najzupełniej bezsilna i bezradna, ufna zbyt w swą „kuchnię łaćńską” komplikuje stany chorobowe, zbyt często ucieka się do zasady „ut aliquid fieri videatur”, a przedewszystkiem niejedną zbrodnią o szerokim zasięgu (proces w Lubecie) obciąża swoje konto, niestety najczęściej bezkarnie.

Kultura stworzyła pojęcie cudzej własności, a prawodawstwa nakazały jej poszanowanie. Prześstępstwa w tej dziedzinie ochrzcili kodeksy karne mianem sprzeniewierzenia, oszustwa, kradzieży, rabunku i t. p. Najcenniejszym mieniem jest wszakże zdrowie i życie, na którym popełniane są najczęstsze i największe przestępstwa. Przestępstwa te określono przez opisanie: „organizm nie był wytrzymały, pacjent nie przestrzegał zaleceń, operacja się powiodła, tylko pacjent skrewił” i t. d. Zawód lekarski, niezwykle trudny, tylko w rękach uczciwych i sumien-

nych jednostek jest dobrodziejstwem ludzkości. Dlatego też urabianie i utrwalanie u kandydatów zawodu lekarskiego niezłomnych zasad etycznych i humanitarnych, już od pierwszej chwili studjów lekarskich, winno być naczelnym hasłem tego wyjątkowego, pięknego zawodu. Wymagania w tym względzie winny stać bardzo wysoko. Jakżeż jednak jest to do pomyslenia, gdy medycyna dzisiejsza hołduje tak okrutnej metodzie badawczej, jak wiwisekcja? Nie chodzi bynajmniej o tkliwość i czułośćkowość, ta bowiem jest w zawodzie lekarskim zjawiskiem niepożądanem lub wręcz szkodliwym. Chodzi natomiast o bezwzględne poszanowanie cudzego zdrowia i życia jako wartości najwyższych i oszczędzanie tych wartości nie z obawy przed odpowiedzialnością karną, lecz z obawy przed własnym sumieniem. Brak sumienia u lekarza, objawiający się w traktowaniu pacjenta narówni z martwym objektem doświadczalnym, jest tak samo zgubny lub nawet zgubniejszy, niż stroniczość i złośliwość u sędziego, znającego doskonale przepisy prawa. Wolno tedy twierdzić, że sumienie jest połową sztuki lekarskiej. A jeśli użyliśmy już takiej analogji, to pójdźmy dalej. Wymuszanie zeznań, a także używanie podstępnych sposobów dla ujawnienia prawdy, jest sędziemu wzbronione, a przecieź sędzia ma przed sobą zbrodniarza, który winien ponieść zasłużoną karę. Także sama kara nie może być połączona z okrucieństwem. Niektóre ustawodawstwa zmierzają do zniesienia kary śmierci. A zatem także wobec zbrodniarzy obowiązują zasady etyki i humanitarności. Doświadczenia wiwisekcyjne są sui generis wymuszaniem zjawisk, są niezaprzeczalnym gwałtem bez względu na to, czy dokonywane są na ludziach, czy na zwierzętach i bez względu na swój cel i osiągnięty skutek. Tak zdobywana „wiedza dla cierpiącej ludzkości”; tak zdobywana „wiedza dla cierpiącej ludzkości” będzie parodią humanitaryzmu. A przecieź eksperymentator ma przed sobą nie zbrodniarza, lecz niewinną ofiarę, która raczej pomocy potrzebuje, niż spełniania roli męczeńskiego bohatera. Zresztą — gdy nas samych nie stać na bohaterstwo, nie wymuszajmy go na drugich. Padają często złośliwe zarzuty, że zmieniałyby się hasła przeciwników wiwisekcji, gdyby w roli ciężko chorych pacjentów przyszło im nadaremnie wyczekiwać dla siebie ratunku. Zmieniłyby się niewątpliwie zdania panów eksperymentatorów, gdyby ludzkość, ta ludzkość, dla której dobra „poświęcają się”, zażądała od nich złożenia własnego zdrowia i własnego życia na ołtarzu wiedzy i odegrania roli pośrednich bohaterów. Szafowanie bowiem cudzem zdrowiem i życiem nie ma w sobie nic z bohaterstwa. Wojna jest rzezią ludzi i zagładą ludzkiego dobytku. Tysiące i setki tysięcy istnień ludzkich są żerem armatnim. Życie żołnierza wobec rozszalałego żywiołu wojny jest ziarnkiem piasku w pustyni. Nie mniej jednak lekkomyślne szafowanie materiałem ludzkim w czasie działań wojennych, jest zbrodnią przeciw sile zbrojnej i za tę zbrodnię grozi winowajcy sąd polowy. Szkoła wiwisekcyjna jest tem pobożowiskiem, gdzie lekkomyślne ofiary idą w niezliczone tysiące. Wojna nie jest dziełem humanitarnem, a jednak prawo międzynarodowe zabrania pewnych środków i sposobów walki, każe oszczę-

dzać nieprzyjacielskie placówki sanitarne, domaga się oszczędzania jeńców itd. itd. Wynika stąd chyba jasno, że nawet w momentach najkrwawszych zmagañ muszą dominować pewne zasady etyki, pewne względy humanitarności. Czy można tedy przyjąć, że jedyna na świecie medycyna ma być wolna od praw i zasad powszechnie obowiązujących? Czy taki przywilej, którego zresztą nikt nie miałby prawa jej nadać, może jej przysługiwać? Pod żadnym warunkiem! Pewne metody badawcze i praktyki zawodu lekarskiego są przeto oczywiście bezprawiem.

Rozumny człowiek musi uznać, że medycyna, mająca przed sobą ogrom tajemnic i zagadek do rozwiązania, nie może ani na chwilę ustać w swej żmudnej pracy badawczej. Badania te z natury i porządku samej rzeczy muszą pochłaniać pewne ofiary. Na tych ofiarach doskonali się wiedza lekarska. Badania te winny jednak odbywać się w związku z leczeniem. Medycynie nie wolno natomiast upatrywać sobie ofiar i czynić zeń świadomie przedmiotu swych okrucieństw; nie może ich przeznaczać na materiał doświadczalny w ścisłem tego słowa znaczeniu. Usprawiedliwionemi będą jedynie ofiary skutkiem niedośkonłości przyjętych w medycynie środków i metod leczniczych lub też skutkiem ludzkiej omyłności. Od medycyny i zawodu lekarskiego nie można bowiem żądać rzeczy nadludzkich; musi się natomiast zabronić jej rzeczy nieludzkich. Ofiary nie mogą być następstwem świadomego postanowienia, bo wtedy ma się do czynienia ze świadomą zbrodnią. W ofiary takie obfituje szkoła wiwisekcyjna, nie znająca ani miary, ani granic. Z tego też względu może być nawet radykalnie zwalczana. Jej „chlubne zdobycze” są bowiem okupione piekłem najstraszniejszych cierpień ludzkich i zwierzęcych.

Prof. Koskowski zdaje się powątpiewać w doświadczenia, czynione na ludziach niezamożnych, konających po klinikach i szpitalach. Sam jednak w pierwszym zdaniu uwag o Angioxyl'u (Polska Gazeta Lekarska Nr. 21 z dn. 24 maja 1931 r.) wspomina o doświadczeniach pp. Gley i Kisthiniosa na zwierzętach i chorych. Są to zresztą rzeczy zbyt dobrze znane, by dla kogokolwiek były nowością. Doświadczenia na ludziach opisuje m. in. lekarz W. Weressajew w swych „Zwierzeniach lekarza”, które swego czasu wywołały formalną burzę w świecie lekarskim. Słusznie tedy stwierdza prof. Koskowski, że „w opiece nad człowiekiem są do zrobienia rzeczy wzniosłe i naprawdę humanitarne”.

Zdaniem prof. Koskowskiego, „obroncy zwierząt nie interesują się dostatecznie tą najistotniejszą ochroną człowieka, jaką mogliby spełnić w walce z gruźlicą, nie widzą głodu, który gorszy jest od najgroźszej wiwisekcji (sic!), nie zajmują się zakupnem mleka dla mrących z głodu niemowląt i przechodzą obojętnie obok zbrodni społecznej, jaką jest nędza”. Tu szarża prof. Koskowskiego wypadła wprost rekordowo. Oskarżyciel nasz, odsądzający nas od uczuć humanitarnych dla człowieka, doszedł więc w swym polemicznym rozmachu do osobliwego przeświadczenia, że członkowie towarzystw opieki nad zwierzętami, „rozkliwiający się nad losem tych istot”, są obojętni na niedolę i nędzę ludzką, że zatem są

niegodni miana ludzi. Na jakich zasadach myślenia *doszedł jednak* do tak zasadniczo błędnego poglądu, pozostanie dla nas zagadką. Kto bowiem bezinteresownie i z narażeniem własnej osoby umie ująć się nad zwierzęciem, ten stanowczo stanie w obronie krzywdzonego bliźniego. Tak w pierwszym, jak i w drugim przypadku motorem działania jest współczucie. Z drugiej strony jest rzeczą notorycznie znaną, że jednostki obojętne i niewrażliwe na niedolę zwierząt, przewyższających nieraz swą szlachetnością człowieka, nie okażą współczucia bliźniemu (chyba, że cierpią na rozdwojenie jaźni). Codzienne życie poucza nas dostatecznie, że największy odsetek zbrodniarzy rekrutuje się z pośród zdecydowanych dręczycieli zwierząt oraz, że okrucieństwo, zapoczątkowane ra zwierzętach, szuka następnie szerszego ujścia w ofiarach ludzkich. I tu występuje w całej pełni doniosłość idei ochrony zwierząt, oceniana już nie z punktu etyki, lecz z punktu jej użyteczności dla ludzi.

Bezduśznie szykanowani obrońcy zwierząt widzą nietylko głód ludzki, lecz także głód i cierpienia bezbronných zwierząt, skazanych na śmierć męczeńską w zimnych, brudnych i wilgotnych piwnicach instytucji doświadczalnych, gdzie konają na gołym betonie lub gołej ziemi. Zwierzęta te, poświęcane dla dobra cierpiącej ludzkości, zasługują chyba na humanitarne traktowanie. Warunki bytu tych ofiar przemocy nie są widocznie znane prof. Koskowskemu, skoro przemilczając zupełnie nędzę i niedolę zwierząt doświadczalnych, otwiera nam oczy na nędzę ludzką. Któż nędzy ludzkiej nie widzi? Jest ona straszną we wszystkich swych przejawach, najmniej jednak nadaje się do urabiania z niej środka demagogicznego, jako antidotum przeciw innej nędzy. W każdym razie winowajcami nędzy ludzkiej, jak i zwierzęcej są ludzie, a nie zwierzęta. W każdym razie miłosierdzie i poczucie sprawiedliwości dla zwierząt nie opiera się nigdy na krzywdzie ludzkiej. W każdym razie za nędzę i niedolę zwierząt doświadczalnych odpowiedzialni są w pierwszym rzędzie panowie eksperymentatorzy, których obowiązkiem jest zapoznać się z warunkami bytu tych istot.

Absurdalnością trąci apel pod adresem towarzystw opieki nad zwierzętami, by się zajęły zwalczaniem gruźlicy i zakupnem mleka dla niemowląt. Równie dobrze moglibyśmy apelować pod adresem panów eksperymentatorów, by się zajęły zwalczaniem handlu żywym towarem, którato akcja jest naprawdę wzniosła i humanitarna. „W opiece nad człowiekiem są do zrobienia rzeczy wzniosłe i naprawdę humanitarne” — głosi prof. Koskowski. Dlatego też prosimy go gorąco, by zajął się tem, do czego innych nawołuje, przedewszystkiem zaś bezpłatnym i skutecznym leczeniem ubogiej ludności. Za takie dowody humanitarności będziemy mu ogromnie wdzięczni.

Z artykułu autora okazuje się, że nie zna wcale działalności towarzystw opieki nad zwierzętami, skoro sądzi, że prowadzą kampanję wyłącznie przeciw wiwisekcji. Działalność ich bowiem zmierza do ukrócenia szeregu innych sposobów dręczenia zwierząt. Dlatego też wyszukane rady i wskazówki prof. Koskowskiego pod naszym adresem, nie przedstawiają dla nas zgola żadnej wartości, a łącznie z różnemi

sentencjami jego na temat humanitarności zakrawają na demagogję dla odwrócenia uwagi od meritum sprawy. To jedno musimy zauważyć, że panowie eksperymentatorzy skierowują naszą działalność na teren w każdym razie mniej groźny dla zwierząt, niż wiwisekcja.

Postulaty nasze, wyrażone w memorjale tutajszym do Senatu Akademickiego U. J. K. we Lwowie, dotyczącym eksperymentów naukowych na żywych zwierzętach, oparte były z jednej strony na postanowieniach ustawy o ochronie zwierząt, z drugiej zaś strony na stanie faktycznym, niezgodnym z postanowieniami tejże ustawy. Do wystąpienia przeciw dotychczasowym praktykom posiadało Towarzystwo aż nadmiar materiału, pochodzącego często wprost ze źródła. Nie tu miejsce na przytaczanie faktów. Nie od rzeczy jednak będzie powołać się na pisemne oświadczenie jednego z miejscowych profesorów medycyny, w następującem brzmieniu dosłownem: „W czasie wiwisekcji rzadko stosuje się narkozę, a co dzieje się ze zwierzętami po doświadczeniu, o tem wolę nie myśleć”. Ze strony bezpośrednich świadków jesteśmy poinformowani, że jeden z lwowskich „młodych badaczy” ranił pewnego razu dwadzieścia psów kulami rewolwerowemi w brzuch, a następnie uczył się ich leczenia. Tęgo rodzaju eksperyment jest oczywiście barbarzyństwem; winowajca winien za ten czyn ponieść surową karę. W czasie wiwisekcji stosowaną jest najczęściej „kurara”, która — co zostało dowiedzione, nie znieczula bynajmniej nerwów czuciowych, lecz powoduje jedynie porażenie mięśni, ubezwładniając całkowicie ofiarę eksperymentu. Zwierzętom przecina się także struny głosowe, by nie wydawały jęków. Z innego źródła jesteśmy poinformowani, że karmienie zwierząt doświadczalnych odbywa się w ubikacjach, zanieczyszczonych bezpośrednio ekskrementami. Uzasadnionym przeto jest postulat Towarzystwa o dopuszczenie jego delegatów do wykonywania kontroli nad sposobem obchodzenia się służby ze zwierzętami doświadczalnemi. Wielu eksperymentów dokonują osoby, nieposiadające formalnych zezwoleń, przewidzianych w ustawie o ochronie zwierząt lub nieposiadające nawet warunków do uzyskania takich zezwoleń. O masowości eksperymentów świadczy wymownie ilość psów, dostarczanych iure caduco instytutom naukowym przez rakarnię miejską, z pogwałceniem ustawy cywilnej i rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa w sprawie zwalczania zakaźnych chorób zwierzęcych. Nie wszystko zatem przedstawia się tak idealnie, jak sobie życzy prof. Koskowski w swym artykule. Ileż to psów, stanowiących bezsporną własność prywatną, ukochanych przez swych właścicieli, a wydartych im przez oprawców w imię „walki z wścieklizną”, kończy swój żywot na stole wiwisekcyjnym lub w piwnicach instytutów naukowych? Zdarzało się, że wypieszczone stworzenie, którego straty ktoś szlachetny długo nie mógł przeboleć, dostało się „via rakarnia” na stół wiwisekcyjny i tam, przed swym katem, stawało na łapkach, bo pani nauczyła je służyć; nie wyżebrawszy jednak liłości, ginęło w mękach, by zaspokoić ludzkie instynkty i upodobania. Nie! To niemożliwe! Ginęło, by zbawić ludzkość od wszystkiego, tylko nie od bar-

barzyństwa. Czy i tu, Panowie Eksperymentatorzy, jest wszystko w najlepszym porządku? Czy może są to także tylko „zwroty frazeologiczne” o demagogicznym posmaku, a obliczone jedynie na bezkrytycznym opinii publicznej? Nie! Są to fakty tak oczywiste, że aż żenujące. Jest to bezprawie, którego nie usankcjonują żadne, najwyszukańsze nawet wymysły. Jest to gwałt, któremu prawo i opinia publiczna muszą się przeciwstawić.

Jeśli prof. Koskowski nie wierzy w te najdrażniejsze okrucieństwa wiwisekcyjne, o jakich wzmianka w powołanych poprzednio broszurach Dra L. Oehningera i Dra W. Knappego, odsyłamy go, „służni, do następujących publikacji: „Virchow's Archiv für pathologische Physiologie und Anatomie” (tom 139), Dr. Hermann Pfeifer, profesor medycyny w Wiedniu: „Das Problem des Verbrühungstodes” (R. 1913), Dr. Hyrtl, profesor anatomji w Wiedniu „Podręcznik anatomji” (wydanie 15 i 20), „Deutsche Medizinische Wochenschrift” (rocznik 1888) i inne.

Artykuł swój kończy prof. Koskowski relacją, że w niektórych krajach zachodnich o wysokiej cywilizacji i kulturze kwestję badań na zwierzętach poddawano nawet plebiscytowi. Przed kilku laty głosił lud szwajcarski w powszechnym głosowaniu nad wnioskiem o prawie antiwivisekcyjnym. Głosowanie ludu szwajcarskiego przyniosło szkole wiwisekcyjnej

zwycięstwo. „To było jednak w Szwajcarii” — kończy autor z emfazą.

Relacja prof. Koskowskiego jest dla myślącego czytelnika potwierdzeniem, że wiwisekcja stanowi zagadnienie ogólno ludzkie, o którym ogół ludności ma prawo wypowiedzieć swój sąd i dać swoje „placet” lub zgłosić swoje „veto”, z czego znów wynika, że wiwisekcja jest zagadnieniem zbyt ważnym i doniosłym, a przytem tak wyjątkowym, iż sfera wykonawców wiwisekcji nie może żadną miarą rozstrzygnąć o prawie stosowania tej metody badawczej. Tak pojęto tę rzecz w Szwajcarii. U nas natomiast nie tylko ogółowi ludności, ale nawet lekarzom o kilkudziesięcioletniej praktyce zawodowej, a co najciekawsze, także prawnie istniejącym towarzystwom opieki nad zwierzętami nie wolno wystąpić przeciw okrucieństwu wiwisekcyjnym, uprawianym en masse z pominięciem ustawy o ochronie zwierząt, bo tego nie życzy sobie autor artykułu i inni panowie eksperymetatorzy. „Verba magistri” muszą być dla całego społeczeństwa niewzruszalnym dogmatem, którego żadne argumenty nie przemogą.

Relacja prof. Koskowskiego jest dla naszej akcji cenną wiadomością, za którą składamy mu tą drogą wyrazy naszej podzięk.

Zarząd
Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami
we Lwowie.

Zofja de la Bruyère.

CORRIDA TRAGICA.

Odpowiedź Panu Melchjorowi Wańkowiczowi.

Pozwalamy tu sobie przytoczyć część doskonalego artykułu pana Melchjora Wańkowicza.

— „Corrida comica...”

„Corrida! Walka byków! — Idziemy. Niech mówią, co chcą moralisci — widowiska te mają dobrą rasę i przemożny czar, jaki daje patyna wieków. Na corridę idzie się nie po to, aby oglądać wstrętny widok mordowanych zwierząt, ale aby twarzą w twarz stanąć z duszą hiszpańską.

Corrida — idziemy...”

— Si, si — przytwardza zadowolony tenente i wykonuje ręką mistrzowski gest. Poznaje go — to „weronika” — jeden z najbardziej eleganckich ciosów matadora.

Zadowolony z efektu, oddaje żołnierzowi słomiany kapelus i każe przynieść czapkę uniformową z fantastycznym pomponem. Żegna nas z honorami wojskowemi, a dwóch obdartaśców przeży się u wyjścia ze starego zamczyska, prezentując broń”.

„Godzina jedenasta w nocy. Amfiteatr pełen. Małe baki z nastroszonymi czubami drą się na rękach matek.

Zaczynam się niepokoić: — co znaczy przymiotnik „comica”?

Rozumiem: na scenę wpuszczają małego byczka, niemal ciele jeszcze. Jest mniejszy, niż najmniejsze z „novilleros” — młodych byczków, jakie widywałem na prowincjonalnych „corridach” nie w sezonie.

Gładka, jedwabista sierść zwierzęcia, wspaniała linia karku, nieskazitelny tors, suche, nerwowe nogi, mała głowa o świetnie osadzonych, ostrych rogach, znamionują wielką rasę.

Naprzeciw niego idzie kolorowa banda klownów, o wymalowanych twarzach, (przecież „corrida” jest „comica!”), którzy dzielą się, jak na prawdziwej corridzie, na pikadorów, banderillerów i t. d.

Zaczyna się błazeństwo przerabiania prawdziwej corridy

Z najgłębszym wzruszeniem przypominam sobie jak rasywy byczek, pochyliwszy głowę, potykał się z klownami, kluty lancami, drażniony, banderillowany. Nosił już w ciele cztery banderille, które powiewają różnobarwnymi wsęgami. Wąskie paski ciemnej krwi biegają po jego skórze. Mimo to za każdym razem schyla głowę i atakuje w milczeniu. Klowni nadstawiają się pod jego nieumiejętne uderzenia, wywołując wybuchy śmiechu. Łapią go za ogon, sadzają w krzesła, obwiązują serwetą i golą wielką drewnianą brzytwą. Aż gdy trzecia para banderilli, tym razem ogniowych, wbija się w jego boki, mały byczek staje i wyrzuca żalostny ryk. Brzmi to, niby wołanie „mamusiu!”...

Poczem — znowu walczy, aż go klown z gwiazdą na zadzie i sztucznym nosem, błazeńsko naśladując ruchy „espady” — nie razi śmiertelnym dźgnięciem.

— Gaseosa ma Fresca! Ahi va la gesosa!

Wyłazi stary oprawca i wbija krótki nóż w szyję leżącego zwierzęcia.

Na sercu kładzie się kamień: zginął jedyny ktoś szlachetny i rycerski w tym ogromnym amfiteatrze.

Banda ludzka wrzeszczy. Jeszcze mają zarzynać pięć ciał.

Zona płacze.

Rozrząca fotele w łoży i wychodzimy z trzaskiem.

— Barbaros parricidos — drę się, nie panując nad sobą na cały cyrk. Płonę chęcią, aby mi który Hiszpan zrobił awanturę. Już ja go zdzielię”.

Któż nie odczułby dreszczu oburzenia po przeczytaniu barwnie i z talentem oddanego opisu parodji walki byków „Corrida Comica”, tej zabawy, będącej hańbą Hiszpanji, słynnej z rycerskich trady-

cyj i obyczajów? Podobno jednak nieludzki zwyczaj zostanie usunięty, gdyż skierowano już podanie do władz hiszpańskich z prośbą o zaniechanie tego rodzaju widowisk. Wierzyć przeto należy, że nastąpi to w możliwie najkrótszym czasie.

Ale czytamy dalej:

Ale i u nas, niestety, również nie brak powodów do oburzenia. Wystarczy zająć się sprawą uboju bydła w naszych rzeźniach (większość z nich jest w rękach żydowskich) według „rytuału”. Polega on na tem, że przykładą się zwierzęciu nóż do gardła i powoli puszcza się krew, nie zabijając odrazu. Następnie wrzuca się je do wrzącej wody, równocześnie oczyszczając wnętrze. Czy nieszczęsne stworzenie żyje jeszcze w czasie tej operacji, to nikogo nie wzrusza. Resztę okrucieństw, popełnianych w rzeźniach, na razie pomijam milczeniem...

Teraz wiwisekcja. Pada ofiarą wiele zwierzęcych istnień pozornie dla naukowych korzyści. Czyż doprawdy? Oto Prof. Dr. Tur w swym artykule „W psiej sprawie” z dnia 21.VII 1928 r. w Kurjerze Warszawskim, pisze: „...z pewną sympatją spoglądam na psa, leżącego na stole sekcyjnym w pracowni...”.

A poprostu wierzyć się nie chce, że nie dalej, jak w roku zeszłym, w szkołach średnich, z polecenia nauczycieli krajały dzieci żywcem króliki i żaby, bez zachloroformowania, przyczem za „opór” bardziej wrażliwe karane były złym stopniem.

Nie do wiary! A jednak... (obecnie doświadczenia te zostały zabronione przez Kuratorjum).

A teraz, pozwolą czytelnicy, że opowiem następującą, z własnych wspomnień zaczerpniętą przygodę:

Istnieje w Warszawie „Związek dręczenia zwierząt”; pojęcie ludzkie przechodzi, do czego członkowie tego związku są zdolni.

Idąc na przechadzkę w stronę Wisły, zauważyłam psa, pełzającego z trudem po trotuarze. Foks biały, z czarnymi plamkami, czyni kilka daremnych wysiłków, poczem nie porusza się więcej. Przyspieszam kroku, pochylam się...

I cóż widzę? W brzuchu ociekającego krwią pieska głęboko wkręcony gruby drut z rzeźnickim hakiem; wnętrze na wierzchu...

Długo jeszcze, bardzo długo stały mi w pamięci przerażone i pełne łez oczy nieszczęśliwego stworzenia...

Upłynęło kilka miesięcy. Traf zrządził, że znów

wybrałam dla spaceru tę samą ulicę. Nagle widzę najwyraźniej białego foksa z czarnymi plamkami. Pełźnie powoli, z trudnością. Halucynacja — mówię sobie i chcę iść dalej; wiem z całą pewnością, że tamten został uśpiony i nie żyje, cóż, kiedy widzę go tak wyraźnie, że złudzenie staje się męczące. Pochyliłam się więc, biorę na ręce... to nie żadna zjawka — żywy psiak z oczyma jak na nitce. — Wypływały...

Kilku chłopców uciekających w mgłę, wyjaśniło wszystko.

A znów innym razem:

Natrafiałam na małe stworzonko z czerwonym, pozbawionem sierści ciałkiem. Właścicielka, wyjeżdżając do Moskwy, chciała się pozbyć ciężaru i poleciła służącej wrzucić go do wapna. Pierwszym moim odruchem było: dać biedactwo do uśpiania. Lecz psina tak błagalnie patrzyła i żałośnie skomlała, że wprost zdawała się mówić: „weź mnie, proszę się, spróbuj mnie uratować...”.

Wzięłam więc. Po trzech miesiącach skóra była zgojona, sierść zaczęła powoli porastać, psina stała się weselsza i tak wdzięczna, taka kochana.

Dla mnie był to skarb prawdziwy.

Zaś pewnego pięknego dnia, z wyższego piętra rzucono mu kawałki kiełbasy, przesiąkniętej sublimatem. Poparzony straszliwie, wewnątrz tym razem, konał długo w męczarniach.

Cóż zawiniła mała psina ludziom o kamiennem sercu?

Oto z tego powodu, że nie miała sierści, że się komuś nie podobała — otruto ją.

Oto „Corrida Comica” nieomal wszystkich cywilizowanych państw.

„Na tarasie hotelu piję mocne wino alikankie i wysapuję wzburzenie. Na filarze werandy wisi klatka z włóconą kurapatwą, klatka jest tak mała, że tuczony ptak ruszyć się nie może.

Kelner mi wyjaśnia, że karmi się go siłą.

Zrywa mnie wściekłość — rozłamuję pręty, ale uwolniony wiezień pada na podłogę jak bezkształtna masa.

Macham ręką i mówię do przerażonego kelnera:

— Proszę nam to usmażyć na jutro.

I przypominam, jak elegancki, z bródką a la Napoleon III-ci hotelarz małego hoteliku pod Grenobłą proponował mi „miodną gęś”. To znaczy, że w żywą gęś wlewa się miód i wolno obraca się na wolnym ogniu, aż ciało przesiąknie miodem. I jak do niedawna ofiarowywano w słynnej żydowskiej restauracji w Warszawie gęś „bujaną”; podobno mały Jojne trzy tygodnie buja na huśtawce gęś, która, przerażona, otwiera za każdym spadkiem huśtawki dziób, wciąga powietrze i wątrąba jej rośnie monstrualnie...”

Cóż za przerażający obraz udręki zwierząt!

Redakcja „Przyjaciela Zwierząt” przesyła numer gwiazdkowy Świata Zwierzęcego swym prenumeratorom z życzeniami zdrowych i pomyślnych świąt. Wobec projektowanego połączenia T-ma Opieki nad Zwierzętami R. P. i Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt wydawanie dwu pism byłoby w obecnych czasach nie tylko zbyt kosztowne, ale nawet dla przyszłej organizacji szkodliwym. Wobec tego aż do załatwienia wszelkich formalności prosimy naszych prenumeratorów przyjęć „Świat Zwierzęcy” z takim samym uczuciem jak przyjmowany był „Przyjaciel Zwierząt”, szerzący wspólną nam wszystkim ideę ochrony i miłości stworzeń Bożych.

K U N D E L.

Szczęśliwym dla mnie i dla redakcji trafem, mam w swoich wspomnieniach, nie skąpych w różnorodność, także i wspomnienie wilji zwierzęcej, takiej, której bohaterem głównym był pies. Nie żaden rasowiec, i nawet nie stary, wierny przyjaciel domu, który w czasie wilji ratuje z płonącego od choinki mieszkania najmłodszą córeczkę tego domu, albo ciężko chorą staruszkę — babcię, poczem, oblany łzami wszystkich domowników i przygodnych świadków, ginie śmiercią bohatera. Wprost przeciwnie. Bydłę było niezbadanego pochodzenia, nikomu nieznanie, nic bohaterskiego nie popełniło, a nawet znęcało się w sposób wybitnie złośliwy nad dwojgiem ludzi o anielskich instynktach, acz nieudolnym wykonaniu. A jak to było, opowiem.

Działo się to w wieczór wigilijny. Zaczął się w myśl tradycji sentymentalnie. Dalsze wypadki wprowadziły jednak pierwiastek, którybym chętnie nazwała groteskowym, gdybym tylko miała tę odwagę cywilną. Mianowicie, jedna z uczestniczek wieczery wigilijnej, po spożyciu tradycyjnych 77 dań postnych, poczuła się smetnie, mętnie, mgliście. przejrzyście i wbrew wszelkim prawom natury po tak wydatnem zasileniu organizmu darami Bożemi na oliwie: — zemdląca.

Tu powstał początek złośliwych figlów chochlika wigilijnego, któremu najwidoczniej zapomniano posypać w kącie maku i łamańców, ażeby był łaskawy. Na ratunek zagrożonej rzucił się z całym rozpędem współczucia mój szwagier, człowiek o gołębiem sercu i sprężystej decyzji. Jak młody piorun dopadł jadalni, porwał karafkę, nalał szklanek i na klęczkach usiłował ten ożywczy eliksir wlać do ust opadającej na kanapę pani Loli. Udało mu się nadspodziewanie. Mdlejąca niewiasta łyknęła, porwała się na równe nogi, poczem zatoczyła półkole w powietrzu i na ten raz zemdląca naprawdę. Elik-sir nie był wodą. Było to tranem dla dzieci, wlanym z powodu zamieszania świątecznego do łudzającej oko karafki.

Zrobił się tumult, zaniesiono poszkodowaną pod prawdziwy kran dla wszelkiej już pewności, chyba żeby magistrat kazał w dniu wilji, jak dobry święty Mikołaj, puścić kranami hydraulicznymi oliwę i wino, albo i zgola czystą monopolową — otoczono, docucono się, obżałowano, wyraźnie oburzenie z powodu okrutnej pomyłki, pocieszono, że tran to zdrowo, słowem — uczyniono wszystko, aby zatuszować intermezzo. Winowajca o gołębiem sercu czuł swoją winę i przemykał się tylko stronami, zanim smak tranu minął pod wpływem ciepłego nastroju wigilijnego. Zapaliliśmy choinkę, niewinne dziatki śpiewały kolendy, zjedliśmy masami dobrych rzeczy i opowiedzieliśmy masami anegdotek, aby zatuszować wspomnienie fatalnej pomyłki. Poczem poszliśmy wszyscy na pasterkę i to już do reszty wyrównało nastroj. Wszyscy wszystkim byli zyczli-

wi aż do łzy w oku, i każdy dla każdego wypiłby nawet octu z żółcią, byle jednak nie tranu. I w tym nastroju na Placu Zbawiciela zaczęliśmy się nareszcie żegnać około wpół do drugiej w nocy, z tem, że-by każdy udał się najkrótszą drogą do domu.

Noc była wprost przeciwną do tradycyjnych nocy gwiazdkowych, kiedy to śnieg iskrzy się w mroźnym księżycu a ludzie z gwiazdką przytupują i zabijają w ręce dla rozgrzania. Nie działo się nic podobnego. Podła słota rozsiała się nad Warszawą, jak śliska ośmiornica, okapując błotnistymi strugami. Pod nogami chlupało. Siąpił drobny deszczyk. Dorożkarze kolendowali, szoferzy byli wszyscy w innej stronie, jeżeli wogóle byli — i oto z rezygnacją, wzięwszy się pod ręce, poszorowaliśmy od Zbawiciela na plac Trzech Krzyży, ileżeśmy tam mieszkały w sąsiedztwie: zemdlona pani i ja. Naturalnie mój szwagier, jako dżentelmen, winowajca i człowiek o gołębiem sercu, pełen chęci zadośćuczynienia, odprowadzał nas, wybierając za karę dla siebie najdłuższą drogę. Było pusto, nieliczni desperaci wigilijni, tak jak my, podążali z podniesionymi kołnierzami i skuleni w kałużę, do domów. Było ponuro.

I nagle...

Serce zamarło w nas z żalości. Na rogu Wilczej i Mokotowskiej, skulony, drżący z zimna i wciśnięty pod mały daszek przy jakichś drzwiach wejściowych, dla niego niestety szczelnie zamkniętych, leżał obmokły, chudy, nieszczęsny i najwidoczniej beapański pies. Nie pies. Psina, psie nieszczęście, psina nędza, szukająca w tę noc bez nadziei jakiegoś schronu przed przenikliwym, zimnym deszczem. Trząsał się tak, że aż w nikłym oświetleniu latarni zapłakanej wodą było to widoczne. Stanęliśmy wszyscy troje, jak na komendę i spojrzeliśmy najprzód na niego, potem na siebie. Wszyscy czuliśmy jednakową bezradną rozpacz. Dokąd takiego wziąć, brudnego, sparszałego, nieszczęśliwego? Nawet gdybyśmy mogli to zrobić — czy byłoby to rozsądne wobec swoich dzieci i swoich psów? O drugiej w nocy?

Pani Loli pierwszej błysnęła światła myśl.

— Edziu, wejdiesz ze mną na górę, dobrze? Mam kiełbasę, bułkę, jakieś mięso: to niedaleko. Wracając dacie mu przynajmniej zjeść.

Tak się też stało. Edzio poszedł na górę, odprowadził panią Lolę do proggu, dostał przez drzwi paczkę z kiełbasą i solenne zapewnienie, że tran został zapomniany bezwzględnie i czempredzej wróciliśmy z placu na Wilczą do psa. Widocznie, ani ludzie o gołębiich sercach, ani autorki sentymentalnych nowel nie są fachowcami w t. zw. rozumowaniu ściślem. Nie wiem dlaczego do głowy nam nie przyszło, że pies przez te dziesięć minut może namyślić się i pójść sobie zupełnie gdzieindziej. Szliśmy radośni, przelatując przez kałuże na skrzydłach miło-

sierdza. Byle prędzej dać biedaczkowi przynajmniej zjeść. Przecież to — wilja.

I nagle stanęliśmy oboje, jak wryci. Kiełbasa omal nie wypadła gołębiemu sercu z rąk. Pod daszkiem było pusto. Tylko małe, suche jeszcze miejsce na ogólnej mokrzyźnie zaznaczało, że istotnie psina tu niedawno leżała. Pozatem — nikogo i nic. Pusto, mokro i wyje wiatr. Na ulicę w taki czas nie wypędziłby, jak to się mówi, ani psa.

Co robić?

Patrzyliśmy na siebie bezradni. Czułam, że jeszcze troszkę, a rozplaczę się jak ta pogoda. Biedny, biedny piesek. Co zrobić w tę straszną noc?

Nagle wstąpiło we mnie literackie natchnienie. Pociągnęłam szwagra za rękaw generalskiego, zmożłego płaszcza.

— Edziu, on z pewnością poszedł na plac Trzech Krzyży. Tam jest przecież w bramie targowisko, więc myślał coś znaleźć do jedzenia. Chodźmy jeszcze poszukać go na plac.

Poszliśmy na plac, ale psa nie było. Spojrzałam obojętnie na swoje własne okna. Były ciemne. Nie było mnie w domu, i mogłam wobec tego się nie spieszyć. Edzio kombinował na własną rękę i nie wiadomymi mi kombinacjami strategicznymi wpadł nagle na niezbitą pewność, że pies i owszem napewno jest blisko, ale mianowicie nie tu, tylko — w Alejach Ujazdowskich. Wypadało to zupełnie niezbitcie z właściwości terenowych, pomnożonych przez teorię prawdopodobieństwa pod kątem wiedzy astrologicznej, i wytłumaczył mi w krótkich słowach, że Napoleon nie inaczej właśnie obliczał swoje wypadki strategiczne. Pies musi być w Alejach!

Pewność — to już połowa wygranej. Argumentacja wydała mi się nieprzekonywująca, ale pełna swoistego wdzięku. Zaparliśmy się mocniej w siebie, ile że teraz wypadało iść jeszcze i pod wiatr, i ruszyliśmy bez namysłu w Aleje Ujazdowskie szukać psa.

Gdyby istniał aparat fotograficzny, który poza powłoką umiałby oddać jeszcze i stan ducha obiektu, byłibyśmy naówczas zdjęciem konkursowem.

Pod hasłem: — „Nierozsądek czy miłosierdzie?” — dzielny wojak, generał wojsk polskich i człowiek skądinąd na wybitnym stanowisku, oraz podpisana, której walory pomijam przez autorską skromność, człapał pod deszczem w noc wigilijną w poszukiwaniu mimochodem spotkanego psa, który mógł, powiedzmy, tymczasem udać się na Wolę czy nawet do Krakowa: było to bądź co bądź zjawisko duchowe niecodziennego wdzięku. Moglibyśmy tak chodzić do rana. Wtedy jednak ani przez sekundę nie mieliśmy wątpliwości, że psa znajdziemy. I — o dziwo! Opatrzność czuwa widocznie nad autorkami i poniektórymi generałami: w pewnej chwili szwagier wyrwał się naprzód i wiewając paczką z wiktuałami, poleciał jak dobry wyżeł naprzód, wołając ku mnie tytułem wytłomaczenia:

— Jest! Jest! Stoi pod drzewem na tamtej stronie! Tiu, tiu, tiu! No chodź tu, głupi! Tiu, tiu!

Pędziłam jak mogłam pod wiatr i deszcz za nim. Nieliczni przechodnie, wracający z pasterki lub z oblewania wilji, zaciekawili się. Wkrótce utworzyła się nieduża, ale zainteresowana grupka. Na widok generalskiego płaszcza, goniącego napoprzek alei, policjant szybko przyłożył rękę do daszka. Pod parkiem Ujazdowskim, przy drzewku, stał w pozie wyczekującej, z jedną nogą podwiniętą, zapewne z zimna, wiadomy kundel i z zainteresowaniem przyglądał się człowiekowi, który skradał się ku niemu przez ulicę. Człowiek wyglądał bezwzględnie na przyjaciela, ale komu to można wierzyć w naszych czasach? Mógł być i hyclem, przebranym dla niepoznaki w inny mundur. Należało być na baczności. I kiedy zawiniątko z kiełbasą było już o krok od psiego nosa, bydlę nagle przysiadło, odszczeknęło się urągliwie, puściło się uciekać wspaniałą perspektywą alei. Po chwili znikło w mroku.

Staliśmy i parzyliśmy na siebie w niemej rozpaczy. Misjonarz, któryby nieopatrznym krokiem spłoszył gotowego do nawrócenia ludożercę, czułby się zapewne tak. Złożyliśmy, przy udziale kilku ochotników, naradę wojenną. Policjant, uważając imprezę za raczej niezgodną z szarżą generalską, odwrócił się w kierunku placu Trzech Krzyży. Na plecach jego przy pewnej wprawie psychologicznej, najwyraźniej dałby się odczytać napis:

— Wolno komuś robić warjata, ale poco tu niepokoić władzę?

Byliśmy niepokieszeni.

— Bo nie trzeba było tak do niego od razu iść... — przekonywałam ze łzami. — Przestraszył się, myślał Bóg wie co. Trzeba było położyć na ziemi kiełbasę i odejść.

Nagle, o szczęście, z mroku wyjrzały zasnut mokremi pasmami sierści psie ślepie, i wyłoniło się chude cielsko. Kiełbasa zwyciężyła. Ciekawość kundla do wędzonki, grzech pierworodny psiego rodu, pogłębiła ostrożność, i kundel wrócił. A może to jednak nie wróg?

Matka nie podchodzi do niemowlęcia, którego nie chce obudzić, tak motylemi ruchami, jak to czynił mój biedaczek militer. Myśmy stali za nim i ostrzegali.

— Ostrożnie! Bo znowu ucieknie. O, teraz! Położyć i nie zwracać uwagi! Najlepiej odejść i jakby to nie dla niego.

Staliśmy w grupie jakich ośmiu, dziesięciu osób, pod ulewnym już teraz deszczem, a bydlę żarło jak wilk! Zjadł kiełbasę, zjadł bulkę, mięso, chleb, spróbował zjeść papier. Najwidoczniej kierował nim instynkt samozachowawczy na przyszłość, bo słońby się nasycił tem, co władował w swój podbity brzuch. Wreszcie skończył, przeciągnął się i udał się w kierunku Górnośląskiej. Mianowicie udał się, dałabym głowę, że tam miejszkał, kto wie, czy nie był poprostu urodzonym waga-bundą, włóczącym się trzeba czy nie trzeba po nocach i pędzającym w pokusę ludzi o sentymentalnych sercach? Nabił nas w butelkę, najadł się, a teraz wracał do domu, i już.

Co mieliśmy robić? Wróciliśmy także. Przypomnieliśmy sobie, że to już godzina blisko trzecia, że przemokliśmy do nitki i że wogóle, mówiąc po warszawsku, odstawialiśmy warjatów w sposób zupełnie modelowy. Spojrzeliśmy winnym wzrokiem na policjanta, który miał ten takt, że się nie odwrócił za nami wcale: dobrze wychowany służbista nie powinien spostrzegać nietaktów zwierzchności. Ludzie powoli rozeszli się także. Człapaliśmy po deszczu, unosząc w sercu dziwne uczucie. Troszkę

wstydu, troszkę — radości. Bądź co bądź, w tę wigilią noc zrobiło się coś dobrego — może takie maleńkie, głupawe dobro, ale przecież — dobro. A przecież na wigilję nawet i zwierzęciu powinno być bodaj troszeczkę radośniej!

I takie oto były dzieje bohaterskiej wilji, gdzie główną rolę gra przygodny kundel na tle starej jak świat prawdy, że niewielkie nawet dobro zostaje w pamięci dłużej od wielkiego nawet zła.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

O wróblach.

W ogrodzie, otaczającym nasz dom, gnieźdzą się se'ki wróble — są to może ptaki mniej godne uwagi, ale ich spryt i mądrość zasługują na opis.

Z natury zaborcze, wyparły z ogrodu trznadłe i słomki, zajmując po nich sztuczne gniazda, rozmieszczane w dość okazałej liczbie.

wytrwale muszki, umiem przesiedzieć długi czas w ogrodzie, zapatrzona w zabiegliwość tych stworzonek. Biedactwa, nie wiedzą, jak mała część się wychowa — koty i źli chłopcy zabiorą sporo młodych, które pełne zaufania wylecą na pierwszy spacer.

Lubię wróble za łatwe zżycie się z człowiekiem, a możliwość obserwowania oswojonych ptaków jest nagrodą za dobre obchodzenie się.



Mój miły kotek „Neń“.

Mimo to, nie miałem ochoty mścić się na „szaraczkach“ i pozwoliłem rozgościć się swobodnie.

Ileż daje mi radości ta jazgotliwa zgraja, gdy z mą całe chmary zlatują w oznaczonej porze, wiedząc, że czeka ich pożywienie. Nie wolno mi się opóźnić, wówczas szturmują do okna i czarne, małe oczka wypatrują, czy kto się nie zbliża. Nie jest to wyłącznie przyzwyczajenie do miejsca, gdyż na wołanie — „ptasiuchny“, lecą za mną po całym terenie, unosząc się tuż nad głową.

Wiosną, kiedy maleństwa są jeszcze słabe i rodzice znoszą



„Fik“ i „Mik“ p. A. Skórzewskiej z Włocławka.

Szczęśliwą jestem, że stworzyłam dla nich mały rezerwat, gdzie mogą bez obawy cieszyć się życiem.

Wszystkie dzieci powinny na brzegu swego okna sypać okruszyny, a zdobędą sobie wzamian gromadkę małych przyjaciół i odczują, jak miło jest zbliżyć się do zwierząt.

Dobroć dla otaczających nas istnień daje duże zadowolenie moralne i świadomość, że godnie nosi się miano człowieka!

Julja Stefanowiczowa.

Przyrzeczenie.

Zwierzętom potrzeba jak najwięcej przyjaciół: będę jednym z nich.

Będę się starał, aby zwierzęta i ptaki, którymi się opiekuję, były szczęśliwe.

Nie będę więził żadnego żyjącego stworzenia.

Będę się starał zapobiegać wszelkiemu okrucieństwu; zawsze i wszędzie, gdziekolwiek ono zdarzyć się może.

M. Czeczott.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA ROK 1932.

BLANKIET P. K. O. ZAŁĄCZAMY.



„Myszka” Teresy Wilskiej z Wielkiego bardzo lubi sól.

W JAKIM STANIE POLSKIE KONIE PRZYBYWAJĄ DO BRUKSELLI.

W pierwszym numerze belgijskiego kwartalnika „Nos meilleurs Amis” z roku 1931 znajdujemy przedruk następującego z „Gazety”, pisma wychodzącego w Brukselli, z dnia 31-go marca 1931 r.

Dnia 24-go marca o godzinie 16-ej na dworzec Tour i Taxis z ośmiogodzinnym opóźnieniem przybył pociąg twarowy z transportem koni ze Śląska, dwanaście wagonów niemieckich. W sześciu z nich było po 26 koni, w pozostałych zaś 6-u wagonach po 28 koni. Zaraz po przybyciu pociągu wydobyto 7 nieżywych koni, które padły w czasie podróży. W drodze znajdowały się one 4 dni. Niektóre trupy były już w stanie rozkładu.

Dnia 26 marca przybył na dworzec brukselski pociąg z Bawarii, a w nim w 5-u wagonach niemieckich załadowane były konie. Wydobyto z nich jednego martwego konia. A więc w niecałych 36-u godzinach wydobyło z pociągów na dworcu brukselskim Tour i Taxis 8 nieżywych koni.

W poprzednim tygodniu w podobnych okolicznościach również wydobyto z wagonów 2 nieżywe konie. Są to wypadki częste, a zdarzają się one mniej więcej od roku.

Wszystkie te konie były wepchnięte bez ładu, a tak ściśnione, że nie mogły się poruszać, ani utrzymać równowagi. O żywieniu ich w czasie podróży mowy być nawet nie mogło. Była to rzecz zupełnie niemożliwa.

Konie, które przewróciły się z jakichkolwiek powodów czy to z choroby, czy z wyczerpania, czy też poprostu straciły równowagę, podnieść się już nie mogły i zostały na śmierć strątowane.

Według przepisów powinny one przez dwa dni być zatrzymane na granicy. Czas ten ma być użyty na to, aby zwierzęta wypoczęły, żeby je nakarmić, napić i przeładować do wagonów belgijskich.

W wypadkach powyższych podróz z Akwizgranu do Brukselli odbyła się w ciągu 24 godzin. „Niebieski Krzyż” zawiadomił o tych zdarzeniach żandarmerję, która wszczęła odpowiednie dochodzenia.

Rozporządzenie królewskie z dnia 28-go czerwca 1929 r. bieżmi: „W zamkniętych wagonach, przewietrzanych tylko przez małe okienka, zabrania się ładowania zwierząt tak, żeby w razie, jeżeli które z nich położą się lub upadnie, nie mogło się już podnieść. W czasie upałów do takich wagonów nie wolno ładować więcej niż 8 sztuk bydła rogatego lub koni. Jeżeli podróz trwa dłużej niż 36 godzin, właściciel jest obowiązany żywić i pić zwierzęta w czasie drogi. Wszystkie te rozporządzenia odnoszą się również do transportu zwierząt, przywożonych do Belgji z zagranicy. Służba sanitarna jest obowiązana zabronić wwozu zwierząt, których właściciele nie zastosowali się do powyższych wymagań.

Rozporządzenie królewskie z 28 czerwca 1929 roku jest zupełnie jasne i dokładne. Do nas, Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, należy żądać dokładnego wypełnienia tych przepisów.

Inspektor generalny Ministerstwa Rolnictwa zapewnił nas, że wyda odpowiednie zarządzenia, ażeby przepisy prawne były ściśle wypełnione.

Zarząd P.L.P.Z. prosi panów członków
o wpłacanie składek za 1932 rok.

Z ŻYCIA ORGANIZACYJ.

UNIFIKACJA.

Zarządy: Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt i Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, które zawsze pracowały zgodnie dla wspólnych celów, postanowiły jednomyślnie utworzyć jedną organizację o wspólnej nazwie i wspólnym zarządzie. Opracowanie statutu tej przyszłej organizacji jest w toku, a zjednoczenie nastąpi zapewne od nowego roku 1932 po zatwierdzeniu przez Walne Zgromadzenia obydwu organizacji.

W sprawie handlu ptakami.

Skutkiem interwencji T-wa O. n. Z. R. P. Komendant P. P. w Warszawie wydał zarządzenie następujące: Wyciąg z Rozkazu Nr. 924 z dn. 30.X. 1931 r.:

Stwierdzono, że pomimo wydanego zakazu, uprawiany jest na szeroką skalę, szczególnie na Pl. Kercelego i ul. Ogrodowej, zwłaszcza w niedzielę i święta, handel owadożerczemi ptakami śpiewającymi.



Na t. zw. „Kercelaku“ w Warszawie.

Przypominając zarządzenie, podane w p. 10 Rozkazu Nr. 83 z dnia 9.IV. 1924 r., polecam Kierownikom Komisarjatów i Urzędów P. P. zarządzić, aby podwładni im szeregowi nie dopuszczali do handlu takimi ptakami, jak np.: słowiki, czyżyki, śmieciuchy, trznadłe, pliszki, makolągwy, wilgi, dzięcioły i t. p.

Zainteresowanie medyków weterynarii ruchem humanitarnym.

Na prośbę Koła Medyków Weterynarii i staraniem lekarza weterynarii D-ra Kryńskiego, w dniu wczorajszym przewodnicząca sekcji propagandowej

i członek zarządu Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt, p. Dr-wa J. Maszewska-Knappe, wygłosiła odczyt w gmachu anatomji wydziału weterynaryjnego przy Uniwersytecie Warszawskim, na temat rozwoju idei ochrony zwierząt w historii ludzkości, kończąc no dobie obecnej.

„Na samym wstępie niech mi wolno będzie zaznaczyć od siebie, powiedziała prelegentka, jak szczęśliwą jestem, że mam dziś możność mówić o idei ochrony zwierząt, ja — członek Zarządu Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt, do zastępów przyszłych lekarzy weterynarii, do tych, którzy zasadniczo, z samego założenia swego powołania powinni być z placówką naszą zrośnięci najściślej wprost węzłami ideowymi. Wy i my, obrońcy praw i życia zwierząt, chroniący ich od cierpień i krzywd, ale nie z punktu widzenia interesu ludzkości, nie dla życiowych względów utylitarnych ludzkich, lecz w imię najczystszych idei humanitarnych, niesienia pomocy i stania na straży praw i potrzeb istot, które myślą, czują i cierpią, które same bronić się nie mogą i które na każdym kroku spotyka potworna nieraz krzywda, wynikająca z bezmyślności, okrucieństwa lub złej woli ludzkiej.

Uważam, że niema szczytniejszego zadania jak to, które leży przed głęboko myślącym i naprawdę ideowo ujmującym swoje powołanie lekarzem weterynarii. Na takie szczyty wzniesli się lekarze weterynarii zagranicą. Poza pracą fachową dali się oni porwać idącym obecnie przez świat idealistycznym prądom humanitarnym w stosunku do zwierząt i zajęli wybitne stanowiska czołowe w ruchu ochrony zwierząt, *ruchu ściśle etycznym*, mającym na celu z jednej s'rony łagodzenie obyczajów ludzkich, z drugiej zaś strony — niesienie pomocy i obronę bezbronnnych, na każdym kroku krzydzonych istot. Wielu lekarzy weterynarii zagranicą stanęło, jako przewodniczący na czele wybitnych placówek ochrony zwierząt, zajmując radykalne, etyczne stanowisko obrońców zwierząt w najgłębszym, najwznioślejszym znaczeniu tej idei. W Wiedniu np. prezesem „Austrjackiego Związku Obrony Praw Zwierząt i Walki z Wiwisekcją“ jest znany lekarz weterynarii, Dr. Mikuschka, który zajmuje tam wybitne stanowisko społeczne i na którego oczy Europy są obecnie zwrócone.

Jestem od szeregu lat w ścisłym, bliskim kontakcie dosłownie ze wszystkimi, bratnimi placówkami ochrony zwierząt innych narodów. Mam możność zarówno śledzić rozwój tych placówek, jak pracę ich przewodników. W międzynarodowym obecnym ruchu humanitarnym P. L. P. Z. zajęła, jak to Państwu w odczycie tym wykażę, poczesne miejsce. Mam nadzieję, że również poczesne miejsce zajmą już wkrótce i Wasze zastępy — w zastępach tamtych ideowych lekarzy weterynarii!“

Bogata treść odczytu i gorący ton przemówienia zyskał liczne oklaski przepełnionego audytorjum, po skończonym zaś odczycie wielu z obecnych słuchaczy zapisało się na członków Ligi. Należy się spodziewać, że ten pierwszy węzeł sympatji, zadzierżgnięty pomiędzy Ligą a młodem pokoleniem lekarzy weterynarii, rozwinie się w długiotrwałą, wspólną akcję na polu humanitarnem.

O uboju rytualnym.

W dniu 22-go listopada b. r. na kolejnym posiedzeniu dyskusyjnym, które zgromadziło w lokalu Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt licznych miłośników zwierząt, wygłoszone zostały 2 ciekawe referaty. Referat o uboju rytualnym wygłosił prezes P. Z. P. Z. p. Dr. Andrzej Zawadzki. W referacie tym, który dla zebranych stanowił rewelację, odparł prelegent zarzuty stawiane P. L. P. Z., iż nie dąży do skasowania tego barbarzyńskiego zwyczaju. W wyczerpujących wywodach, których tu powtarzać nie możemy, wskazał na zagadnienie uboju rytualnego u żydów i mahometan w Polsce, oraz wykazał, że zagadnienie to, o ile dotyczy mahometan polskich, nie należy do poważniejszych, gdyż częściowo jedzą oni już od dawna koszerne mięso żydowskie, częściowo zaś nie przestrzegają tego zwyczaju, a konie nie stanowią już podstawy ich odżywiania, wobec czego za staraniem P. L. P. Z. rytualny obój koni został zniesiony. Następnie przeszedł prelegent do przedstawienia trudności skasowania żydowskiego uboju rytualnego z punktu widzenia politycznego i wreszcie gospodarczego. Ze względów politycznych, obecne czasy nie nadają się, jak słusznie podkreślił, do forsowania tego zagadnienia, gdyż nie przyczyniłoby się to do niezbędnej dzisiaj Krajowi pacyfikacji umysłów w społeczeństwie. Także ze względów gospodarczych jest to na razie wykluczone, gdyż ubój mają w rękach związki zawodowe, które pobierają za te czynności dość duże opłaty. Mięso jedzone przez chrześcijan, które stanowi resztę z całości bitej rytualnie, jakkolwiek jakościowo wyżej wartościowe niż koszerne, kalkuluje się dzięki wysokiej cenie koszernej — taniej. Przy zniesieniu zatem, w obecnych warunkach, uboju rytualnego, mięso to podrożałoby. Dopiero przy zrationalizowaniu uboju mogłoby mięso nie zdrożeć mimo zniesienia uboju rytualnego, ale to jest zagadnienie, z którym walka np. na terenie Warszawy, jest jak dotąd, beznadziejna. Nakoniec wskazał prelegent, na groźbę żydów, mniejsza z tem, czy realną, że w razie zniesienia uboju rytualnego w Polsce, sprowadziliby — dla 3 milionów ludności — mięso koszerne z zagranicy. Referat zakończony został wyjaśnieniem, co w obecnych warunkach jest możliwe do zdziałania, i czego P. L. P. Z. nie zaniedbuje.

Ciekawym był też referat p. Dr.-wej Knappe-Maszewskiej na temat organizacji koła P. L. P. Z. w Kutnie i organizowaniu się miłośników zwierząt w celu wprowadzenia idei w życie w ogólności. Obydwa referaty nagrodzone zostały oklaskami i wyrazami uznania.

Działalność Rady Inspektorów Okręgowych.

(Delegatów) od dnia 15 października do 1 grudnia 1931 r.

Protokółów do sądów Grodzkich przesłano 43, protokółów policyjnych sporządzono 81, opieczętowano koni 79, w sądach grodzkich załatwiono spraw 132, skazując winnych znęcania się nad zwierzętami na kary od 5 zł. do 50 zł. z zamianą na areszt od 1 dnia do 7 dni.

Protokoły powyższe zostały sporządzone przez następujących inspektorów (delegatów) okręgowych P. L. P. Z. pp. A. Felsa, W. Nowaka, R. Wiewiórskiego, J. Faszczewskiego, F. Polakowskiego, E. Marchanda, E. Starczewskiego, W. Kawckiego, S. Moczulskiego, J. Zagórskiego, M. Parasiewicza, A. Chmielewskiego, R. Wasinkiewicza, K. Bacelta, E. Wysocką i A. Gittel, oraz członków P. L. P. Z. pp. M. Krasuską i S. Niewiadomskiego.

Inspekcje lotne koni.

Od dnia 25 października do dnia 10 grudnia r. b. Inspektorzy (Delegaci) Okręgowi P. L. P. Z. dokonali 14 inspekcji lotnych koni na terenie m. st. Warszawy przy pomocy policji.

Rezultatem ich było szczegółowe skontrolowanie 1040 koni i innych zwierząt, w tem 17 koni kulawych i odparzonych opieczętowano w Komisarjatach P. P. do lecznicy P. L. P. Z. skierowano 10 koni pod dozór lekarsko-weterynaryjny, sporządzono 23 protokółów karnych za znęcanie się nad zwierzętami, oraz ukarano mandatami doraźnymi, pobraniami przez posterunkowych policji 65 właścicieli i woźniców, za nieprzepisowe ładowanie ciężarów na konie, bez dowodów rejestracyjnych (paszportów) i za jazdę kłusem z ciężarem.

Udział w inspekcjach brali inspektorzy P. L. P. Z. pp. A. Fels, S. Zajkowski, M. Parasiewicz, W. Nowak, S. Moczulski, F. Polakowski, E. Marchand, J. Zagórski, C. Walerysiak, E. Starczewski, O. Swadkowski, A. Chmielewski, R. Wasinkiewicz, R. Wiewiórski, J. Baccierelli, E. Wysocka i J. Jachimowicz.

Otwarcie oddziału P. L. P. Z. w Piastowie.

Dnia 29 listopada b. r. odbyło się w Piastowie pod Warszawą organizacyjne zebranie oddziału P. L. P. Z.

Wielkie zasługi przy tworzeniu tej nowej placówki położył p. Czesław Maksam, który będąc miłośnikiem zwierząt oddawna już na swym terenie popularyzował ideę niesienia im pomocy.

Ze propaganda ta była skuteczną, świadczy fakt gremjalnego zaciągnięcia się obywateli tej miejscowości do szeregów obrońców zwierząt.

Na czele zakładanego oddziału stanął ks. Proboszcz Antoni Montak, jako przewodniczący komitetu Organizacyjnego oraz członkowie P. P.: Cz. Maksam — Obywatel Piastowa, Inż. Wacław Witwicki — Prezes Ochotn. St. Poż. i Radny Gm. Piastów, Rudolf Szulc, Wójt Gminy Piastów, Łaskiewicz — b. sędzia Sądu Najwyższego, Józef Popiel — przemysłowiec, Sekretarz Straży Och. Pożarnej, Czesław Fabjan — Radny Gminy Piastów, Dąbrowski Mateusz — Sekretarz Gminy Piastów, Studnicki — lekarz weterynarii, Ignacy Biernaciak — Radny Gminy Piastów, Eugenja Maksamówna, Antoni Olszewski, Kowalski Stanisław, Mijas Aleksander, Prusinowski Stanisław — Prezes Stow. Kupców w Piastowie, Boniński Feliks, Kiljan Apolonjusz.

Zarząd PLPZ. w Warszawie reprezentował p. Jan Wierzbicki.

Ks. Proboszcz Montak, pragnąc przyjąć z pomocą nowo zorganizowanej placówce, ofiarował na siedzibę oddziału lokal przy plebanji.

Sandomierz.

W sali miejskiej odbyło się pod przewodnictwem burmistrza Wojcieszko zebranie organizacyjne T-wa O. n. Z. R. P. Do zarządu wybrano: na prezesa p. I. Jerzykiewiczową na wiceprezesa inspektora W. Laskowskiego, na członków zarządu pp. dra Stecińskiego, dyrektora Żuławę, inżyniera Ciszewskiego i inż. Śmietanko, na zastępców prof. Kisielea, inż. Batora i p. Pracką, do komisji rewizyjnej p. J. Zwolską, dyr. K. Andrzejewskiego, p. St. Żarskiego, na zastępców dra Bohrensteina i p. Korsaka.

Nowej pacówce życzymy powodzenia w jej humanitarnej i kulturalnej pracy.

Kozienice.

Dnia 16 września r. b. została założona w Kozienicach Ekspozytura T-wa O. u. Ż. R. P. w następującym składzie zarządu: prezes dr. wet. Mieczysław Skrzeczkowski, wiceprezes Wiktor Łoskot, sekretarz i skarbnik Stanisław Grzybiński, członkowie: dr. Skrzeczkowska, Józef Kołodziejek i dr. Sewerin. Do Komisji rewizyjnej weszli burmistrz Wrzesiński, Wincenty Antosiewicz, N. N. Dułowski.

Nowej placówce życzymy powodzenia w jej ideowej i kulturalnej pracy.

Brześć n. Bugiem.

Oddział T-wa O. n. Z. R. P. przejął od magistratu ambulatorjum weterynaryjne i zaangażował stałego lekarza weterynarza, który urzęduje z wyjątkiem dni świątecznych od godz. 9-ej do 14-ej.

Tamże uruchomiono z dniem 1 sierpnia r. b. szkołę kucia koni z nauczaniem bezpłatnem.

Ołyka.

Z ramienia Oddziału T-wa O. n. Ż. w Łucku założona została dnia 20 jaździernika r. b. Ekspozytura T-wa w Ołyce woj. wołyńskiego. Do zarządu weszli jako: prezes Stefan Goldwasser, wiceprezes Jan Szymkiewicz, skarbnik Aleksander Onufrejczyk, sekretarz Teresa Kotowicz, do komisji rewizyjnej: B. Kostyński, D. Kukulewicz i Stanisław Vogelgezag. Nowej placówce życzymy powodzenia w pracy ideowej!

Tydzień zwierząt w Kielcach od 12 do 19.X 1931 r.

Two Opieki nad Zwierzętami wyświetlało w Kielcach film propagandowy p. t. „Co mają nam do powiedzenia Zwierzęta” od 12 — 19 b. m. Na filmie tym były obecne wszystkie szkoły średnie i powszechne, a w dniu 17 i 18 b. m. wyświetlano go dla szerszej publiczności.



Dzień dobroci dla zwierząt w Kielcach.

Pozatem film powyższy był również wyświetlany w Skarżysku, Chęcinach i Białogoni.

Dzień 18 b. m. przeszedł cały pod znakiem Zwierząt; od rana zbiórka, kwesowały też zwierzęta, a między niemi biedna, poraniona szkapa prosiła o datek na lecznicę.

O 12-ej wyruszył z Placu Wolności pochód propagandowy, w którym brały udział liczne organizacje młodzieży z transparentami i zwierzęta, prowadzone przez swych właścicieli, czemu się przyglądały tłumy publiczności.

Pochód był zakończony w rynku przemówieniem wiceprezesa prokuratora Wilkowskiego, przyznaniem 4-ch premij i 6-ciu listów pochwalnych za najlepiej utrzymane konie i wspólną fotografią.

Dzień dla zwierząt w Łucku.

Dnia 2 1czerwca 1931 r. odbył się staraniem Oddziału łuckiego T-wa O. n. Z. R. P. Dzień Dobroci dla zwierząt. Niezwykle to, po raz pierwszy w Łucku urządzone widowisko, zgromadziło bardzo liczną publiczność. W pochodzie, poprzedzonym orkiestrą wojskową 24 p. p., szedł na pierwszym miejscu zarząd, następnie postępowała młodzież szkolna z 10 transparentami, konie 24 p. p. i 13 p. art. pol., konie straży pożarnej, psy, prowadzone na smyczach oraz w samochodach, wózek, udekorowany kwiatami, ciągnięty przez pony i powożony przez dziewczynkę w stroju narodowym, platforma z królikami rasowymi, wóz ciężarowy z trzodą ch'ewną i wszystkie wolne dorożki. Wydano 32 listy pochwalne dla miłośników zwierząt i 4 nagrody pieniężne dla dorożkarzy.

Dzięki doskonale zorganizowanemu pochodowi wzrosło znaczenie zainteresowanie dla T-wa O. n. Z. i jego kulturalnej pracy.

Wilno.

Dnia 13-go listopada 1929 r. o godz. 6-ej rano na osobową, a zarazem i pośpieszno-towarową stację w Wilnie, przybył pociąg z linii: Królewszczyzna—Podbródzie—Wilno, w którego wagonie bagażowym była załadowana partia nierogacizny, w ilości stu kilkunastu sztuk, ogólnej wagi 1872 kg. Po otwarciu wagonu ujawniono, że skutkiem braku powietrza w wagonie, oraz ciasności klatek, w których nierogacizna była załadowana — 35 sztuk nierogacizny, ogólnej wagi 285 kg. udusiło się.

Po skonstatowaniu i szczegółowym zbadaniu tego wypadku, Zarząd Wileńskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami pismem z dn. 9. XII. 1929 r. Nr. 138 zwrócił się do Pana Prezesa Wileńskiej Dyrekcji Polskich Kolei Państw. z uprzejmą prośbą o wydanie zarządzenia, by agencji kolejowi, w szczególności Kierownicy Stacji, dbali o ścisłe przestrzeganie przepisów przewozowych (Dz. Ust. Rz. P. 1928 rok Nr. 14 poz. 102), oraz o interwencję jego przed Panem Ministrem Komu-

nikacji w kwestji uzupełnienia istniejących przepisów przewozowych szczegółowym ujęciem procedury przewozu zwierząt. O wydanych zarządzeniach prosiliśmy łaskawie nas powiadomić.

Czy były jednak wydane przez Pana Prezesa Wileńskiej Dyrekcji P. K. P. jakie zarządzenia, nie wiemy, gdyż zawiadomienia, o które prosiliśmy, do dnia dzisiejszego nie otrzymaliśmy.

Wypadek zaś, który podajemy poniżej, skłania nas do przypuszczenia, że zarządzenia, o które prosiliśmy, nie zostały wydane, względnie, jeżeli i były wydane, to przez Kierowników Stacji — zignorowane.

Wypadek, o którym wzmiankujemy wyżej, miał miejsce, jak i poprzedni, na osobowej stacji Wilno, dn. 6 października r. b. rano.

Po przybyciu pociągu Nr. 512, w którego wagonie Nr. 27379 były załadowane ze stacji Ziabki, Głębokie i Postawy — 39 klatek-skrzyń z 1453 kurami, — po wyładowaniu ujawniono, że z całej tej partji kur, zostało żywych tylko 574 sztuk, reszta zaś w ilości 879 sztuk udusiła się skutkiem ciasnoty w klatkach i braku powietrza w wagonie.

Oburzające!

Z Łodzi.

Ulicą 11-go Listopada, około domu Nr. 55 w Łodzi, wjechał nagle na chodnik wóz, naładowany cegłą. Woźnica, który prawdopodobnie sam był temu winien, zaczął bić konia po głowie i kopać.

Przypadkowo znalazła się tam delegatka P. L. P. Z. p. Neufeldówna, która widząc nadchodzącego posterunkowego policji, zwróciła się do niego, okazując swą legitymację i żądając pomocy. Policjant zaś miast spełnić swój obowiązek krzyknął: „Niech się pani nie wtrąca, to nie pani rzecz“. Działo się to 2 listopada 1931 r. o godz. 14 m. 15.

Podajemy numer służbowy tego gentlemana, jest to 887. Niech się wstydzi.

Jak pracują członkowie P. L. P. Z.

Do Zarządu Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt

Dnia 7 grudnia b. r. o godz. 14 zauważyłam przed posesją Sewerynowka 4, Rybaka Szłomę, syna Moszka i Ła'i, ur. w roku 1897, zamieszkałego przy ul. Lubeckiej 19, prawo jazdy Nr. 3533, znęcającego się na ulicy nad łączącym, okazałym koniem. Rybak używał poprzednio okaleczonego przez samochód konia i chorego na wszystkie 4 noży (opuchlizna) tak długo, jak ten wogóle był w stanie stać i chodzić. Gdy koń upadł i już nie był w stanie się podnieść, zmuszał go do powstania kopaniem i biciem. Ranę z której sączyła się krew, Rybak zmasmował dla niepoznaki grubą warswą szwskiej smoły. Ostatecznie przybyły funkcjonariusz obozu miejskiego zmuszony był konia zlikwidować na ulicy jako już zupełnie zamęczonego i niezdolnego do żadnej pracy. Przy mojej interwencji obecny był, wezwany przezemnie posterunkowy X Kom. P. P. Miłoszewski służbowy Nr. 2751. Naomi świadkami byli: Jaśko Małgorzata — Kopernika 41, Szyfert Tadeusz — Mazowiecka 17/22 i Wyleżyński Stanisław — Mazowiecka 3/2.

Wobec powyższego, niniejszem proszę Zarząd P. L. P. Z. o pociągnięcie wyżej wspomnianego Rybaka do odpowiedzialności sądowej na zasadzie rozporządzenia Prezydenta Rzeczy-

pospolitej z dn. 22 marca 1928 r. o ochronie zwierząt (Dz. U. R. P. Nr. 36, poz. 322).

Zaznaczam, iż dwoma świadkami są uczniowie, którzy w sprawie stawać mogą po godz. 3-ciej.

Warszawa, 9 grudnia 1931 r.

(—) Mieczysława Krasuska, Członek P. L. P. Z., Warszawa, Topiel 6.

Komentarze zbyteczne. Na podstawie takiego listu sprawa zostanie skierowana do Sądu.

Z SĄDÓW.

Bojaźliwy posterunkowy.

Około Jabłonny Legjonowej, na własnej łące, bawiły się z małym psiakiem dzieci p. J. Wasilewskiego. Dziedzicem sąsiedniej parceli był dzielny posterunkowy policji, p. Wiktor Piorunkiewicz.

Czy to upalny dzień letni, czy troski o wznoszoną budowlę sprawiły, iż p. Piorunkiewicz, obchodzący swe włości, zamysłwszy się, przekroczył granicę posiadłości pp. Wasilewskich. Mały piesek, choć był w niewygodnym kagańcu, tak prawo każe, widząc obcego, szczeknął raz i drugi, nie oddalając się jednak zbyt od swych państwa.

Błyskawicznym ruchem Piorunkiewicz wyrwał z pochwy rewolwer. Padł strzał. Psina, trafiona w nogę, z skowytym zaczęła się kryć między dziećmi. Posterunkowy Policji Państwowej, nie bacząc na to, strzelił po raz drugi, zabijając tym razem psa na miejscu.

Jak blisko dzieci zabity został piesek, może posłużyć za dowód to, iż poduszka, na której leżało półroczne dziecko, została zbryzgana krwią.

Sprawa ta była rozpatrywana dnia 2 grudnia b. r. w Sądzie Grodzkim w Jabłonnie. Sąd, mając na względzie, że post. Piorunkiewicz został już ukarany przez policję trzydniowym aresztem i dając wiarę, że oskarżony działał w obronie własnej, Piorunkiewicza uniewinnił.

Hodowca czy oprawca?

Przy ulicy Chełmskiej 32 w Warszawie mieszkał na poddaszu małego drewnianego domku Antoni Karyszowski. Różnie o nim ludzie mówili — częściej źle niż dobrze. Tajemnicze się tam podobno działy rzeczy i przeraźliwe skowyty i jęki zakłócały spokój sąsiadów.

Zameldowano Lidze.

Wydelegowani do zbadania sprawy członkowie Ligi stwierdzili, że Karyszowski w ciasnej izdebce przetrzymuje w skrzyniach i klatkach różne psy i zwierzęta w ilościach i warunkach tak nieodpowiednich, że zażądano natychmiastowej interwencji władz. Na podwórku, na mrozie bez budy i postamnia, uwiązany do płotu dosłownie gnął rasowy pies. Jak się okazało, chory na nieuleczalną, a bardzo zaraźliwą i dla ludzi skórną chorobę. Na zapytanie, czy Karyszowski ma pozwolenie na prowadzenie swego zakładu i w jakim wogóle celu przetrzymuje tyle zwierząt, otrzymali przedstawiciele Ligi odpowiedź iż on, Karyszowski, jest wielkim miłośnikiem zwierząt i trzyma je dla swej przyjemności.

Z przeprowadzonych wywiadów ustalono, iż „hodowca“ ten trudnił się handlem zwierzętami, a jeżeli wierzyć opowiadaniom i skórąmi zwierząt.

Zadziwiająca tolerancją dla tych praktyk wykazał urzędnik odnośnego resortu, dając długie terminy na zlikwidowanie tego niekoncesjonowanego przedsięwzięcia. Pies przy płocie gnił parę tygodni, zanim został zlikwidowany. Spisano jeszcze kilka protokółów na znęcanie się nad psami i nareszcie Karyszkowski stanął przed sądem grodzkim w Warszawie. „Hodowca” i tu miał szczęście, otrzymując za swe praktyki łagodny wymiar kary: 3 dni bezwzględnej aresztu, 50 zł. grzywny i zapłacenie kosztów procesu.

SKRZYŃKA POCZTOWA.

Do odstąpienia.



Prześliczna, bardzo rasowa jamniczka, brązowa, wiek 2 lata do odstąpienia tylko miłośnikom zwierząt. Wiadomość telefoniczna 729-22 od 7 stycznia 1932 r.

Poszukiwany.

PIES, WILK RASOWY, WYJĄTKOWO DUŻY I ŁADNY, możliwie w wieku 1 roku, lub 2-letni, o ile ma tresurę — do występowania w roli reprezentacyjnej jako kwestarz P. L. P. Z. (w zastępstwie „Dzeka”). Oferty do Redakcji Świata Zwierzęcego. Tel. 221-21, między 5—7.

Z WYDAWNICTW.

Polecamy następujące książki dla dzieci i młodzieży:

1. E. Atkinson: „Bobik od Franciszkanów”. — Są to prawdziwe dzieje psa, który przez 14 lat pilnował grobu swojego pana, ubogiego pasterza, i niezwykłą wiernością zasłużył sobie na to, że przed bramą cmentarza w Edyburgu postawiono mu pomnik. Wzruszająca jest w tej powieści dobroć ubogich dzieci, które wszelkimi sposobami starały się ratować Bobika w chwilach grożącego mu niebezpieczeństwa.
 2. E. Carrington: „Nasi przyjaciele”. — Opowiadania o zwierzętach. Wydanie 3-cie.
 3. E. Carrington: „Pomocnicy człowieka”. — Opowiadania przyrodnicze. Wydanie 3-cie.
 4. L. Gask: „Bohaterski Bruno”. — Historia prawdziwa psa z góry świętego Bernarda. Pies ten w ciągu życia swojego uratował od śmierci 50-u podróżnych.
 5. N. Hope: „Przygody Wilczka i jego pana”. — Wydanie 2-ie. Jest to wzruszająca historia wiernego psa.
 6. J. Kenniston: „Opiekun bezbronych”. — Niezwykłe przygody młodego księcia w bardzo dawnych czasach.
 7. M. G.: „Burek i jego przyjaciele”. — Historia psa owczarskiego. Wyd. 4-e.
 8. Ouida: „Nello i Patrasz”. — Historia psa pociągowego we Flandrii. Wyd. 3-cie.
 9. E. Selous: „Przymierze Tomcia ze zwierzętami”. — Powiastka. Wydanie 3-cie.
 10. St. Sewell: „Mój Kary”. — Pamiętnik konia. Książka ta, tłumaczona na różne języki, miała setki tysięcy wydań. Prześliczne powiastki i opowiadania, zawarte w tych książkach, przejęte miłością dla zwierząt i współczuciem dla smutnej nieraz ich doli, pobudzają do litości i dają zarazem wskazówki, jak należy obchodzić się ze zwierzętami.
- Wszystkie te książki są do nabycia w „Naszej Księgarni” — Świętokrzyska 18.

OFIARY.

NA CELE LIGI.

Związek Spółdz. Mleczarskich i Jajczarskich w/m, Hoża 51 — 20 zł., „Agril” w/m na listę ofiar 580 — 5.50 zł., L. Nasiorowski w/m na listę ofiar 567 — 2 zł., J. Zaremski w/m — 4 zł., Z. Kuczkowska, Włoszczowa — 4 zł., B. Menderer w/m — 1 zł.

Wszystkim naszym Czytelniczkom i Czytelnikom zasyłamy serdeczne życzenia Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku.



REDAKCJA.

PRENUMERATA: 6 złotych rocznie w całej Polsce z przesyłką. Zagranicą dol. 1.50. Prenumeratę przyjmujemy na rok od daty wpłacenia.

OGŁOSZENIA: Cała strona zł. 200, 1/2 zł. 110, 1/4 zł. 60, 1/8 zł. 40. Zastrzeżone miejsce o 50% drożej.

Redaktor: Stanisław Zajkowski

Wydawca: Polska Liga Przyjaciół Zwierząt.

Drukarnia Techniczna Sp. Akc. Warszawa, Czackiego 3-5.

Pałac mniej o

3 PAPIEROSY

tygodniowo, zaoszczędzisz
kwotę potrzebną na opłacenie
prenumeraty za

ŚWIAT ZWIERZĘCY

Konto P. K. O. Nr. 15195

LECZNICA DLA ZWIERZĄT P.L.P.Z.

WARSZAWA,

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE NR. 10.

Pod kierownictwem
DOŚWIADCZONEGO LEKARZA
udziela porad od godz. 16 do godz. 19.

Telefon asystentki Nr. 262-36
godz. 9 — 10 rano.

Biuro lecznicy przyjmuje zapisy
na członków P. L. P. Z. i pre-
numeratę Świata Zwierzęcego.

NA ŚWIĘTA I KARNAWAL

Wyborowe

Wódki,

Piwo,

Porter

S. A. HABERBUSCH i SCHIELE



PERFUMERJA
PERFECTION

Marszałkowska 109

poleca najlepszy do rąk **KREM PRAŁATÓW**

Najbardziej zniszczone i zaniedbane ręce doprowadza w krótkim czasie do należytego stanu. Wybiela, wydelikatnia, zapobiega czerwoności i odmrożeniom, oraz nadaje delikatną gładkość.

Członkom Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt 10% rabatu.

KAWA MEINLA

MIESZANKI
NAJLEPSZYCH
GATUNKÓW

Nowy Świat 43
Marszałkowska 61
Marszałkowska 140
2-ga Hala Mirowska 10

i wszystkie oddziały prowincjonalne.

K. FILIPCZAK

CHMIELNA 17 tel. 239-34

**wykwintne obuwie
damskie i męskie**

Wina i Miód

tanie, zdrowe

H. MAKOWSKI

Kruszwica